DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań, 10 listopada 1888 r. — Nr. 32.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Mikołajewskie czasy.

Z opowiadań pani J. z K. R., opisała A. M.

Narzekacie na dzisiajszy ucisk, a nawet nie macie wyobrażenia o tem, cośmy przecierpieli za tak zwanych „Mikołajewskich czasów.“ Dziś przynajmniej życie rodzinne jest spokojne; kładąc się do łóżek, nie lękacie się, aby snu waszego nie przerwał najazd władz wojskowych, aby was z pościeli nie wyciągnięto, nie uwieziono w kibitce, nie poddano pod męki śledztwa i strachu. A strach to okropna rzecz! Człowiek zdoła się z czasem zgodzić z każdą okropnością, ale uczucia lęku, niepewności o jutro nikt długo nie wytrzyma. A nietylko mężczyźni, ale także kobiety i młode dziewczęta nie były bezpieczne w owym czasie. Zresztą Mickiewicz już w poetycznym a prawdziwym obrazie odzwierciedlił owe czasy w „Dziadach,“ ja tylko opowiem swą własną przygodę, jaka mię spotkała, gdym była młodą panienką.

Rodzice moi mieszkali na wsi, w majątku świeżo kupionym. Byłam najstarszą z rodzeństwa i bardzo kochaną, pieszczoną. Działo się to w roku 1834-tym. Młodzież emigracyjna, przejąwszy się z zapałem ideami demokratycznemi zachodu, postanowiła szerzyć je w kraju polskim pomiędzy ludem. Emisaryusze zaczęli krążyć, niechętnie widziani przez obywateli ziemskich, którym owe idee nie przypadały do smaku, lecz pomimo to przyjmowani gościnnie.

Domu naszego nigdy dotąd nie nawiedzili podobni goście; rodzice oddawali się z zapałem gospodarstwu, a ja, jak wszystkie młode ówczesne panienki, spędzałam czas z robótką w ręku, marząc o przyszłości z uśmiechem. Był to dzień niedzielny; z rana po śniadaniu zasiadłam do fortepianu, aby sobie, jak to mówią, od niechcenia pograć. Wtem rozległ się mocny tentent kopyt końskich przed domem. Zerwałam się szybko w przekonaniu, że ktoś z gości przyjechał, gdy nagle drzwi się otwarły, przede mną stanął mężczyzna wojskowy w płaszczu, a chwyciwszy mię za rękę, zapytał:

— Czy pani jesteś panną Józefą?

Więcej mię to zabawiło, niż przestraszyło.

— Tak jest, odparłam z uśmiechem, a wyrywając rękę, dodałam, że pójdę po mamę.

— Nie można, rzekł szorstko, i zamknął drzwi.

Spojrzałam przez okno i spostrzegłam, że dom nasz otoczony jest wojskiem. Wtedy przestrach mię ogarnął, stałam skamieniała, nie wiedząc, co robić. Wtem drzwi się znów otworzyły, a do pokoju wpadł mój ojciec wzburzony, rozgniewany.

— Ktoś pan? zakrzyknął gwałtownie, dla czego mój dom nachodzisz? poślę po sołtysa....

Wtedy mężczyzna obcy uchylił płaszcz i pokazał akselbanty.

— Jestem naczelnikiem żandarmów, rzekł, a ta panna jest aresztowaną....

Mój ojciec nie mógł uwierzyć temu oświadczeniu, zdawało mu się nieprawdopodobnem.

— To nie prawda, krzyknął jeszcze gniewnie, jesteś pan szpiegiem!...

Wtenczas „pan naczelnik“ wyjął z kieszeni papiery uwierzytelniające i pokazał je, a zwracając się do mnie, rzekł:

— Proszę przynieść wszystkie swoje papiery, listy, zeszyty, pieczątki, a przede wszystkiem p i e c z ą t k i.

Byłam odurzoną, prawie nieprzytomną, machinalnie zaszłam do swego pokoju i przyniosłam wszystkie swoje zeszyty z wierszami patryotycznemi, listy od koleżanek z pensyi i pieczątkę, którą dostałam od stryja Juliana, poległego w bitwie pod Kaliszem w 1831 roku. Na pieczątce wyryty był polski orzeł, otoczony napisami w patryotycznym duchu. Uczyniłam to bez rozwagi, ale okoliczność ta uprościła zapewne moję sprawę w dalszym ciągu. Ojciec zmiękł teraz, tylko z czerwonego, jak burak, stał się blady, jak kreda, poprosił żandarma, aby usiadł i posłał po burmistrza do miasteczka. Wtedy naczelnik powiedział, że ma rozkaz odstawienia mię do Lublina.

Jeszcze nie zdawałam sobie sprawy z tego, co zaszło, jeszcze słyszałam, jakby przez sen, słowa powyższe, gdy ojciec mój popadł powtórnie w gniew gwałtowny, a nie mogąc na kogo innego, wylał go na mnie.

— Coś panna zrobiła? krzyknął, od kolebki w domu — zawsze przy rodzicach — kiedyżeś miała sposobność narazić się rządowi? Czy nie wiesz, czem to pachnie? Zabiorą cię, wywiozą, zmarniejesz w więzieniu... a biedni rodzice...

Nie dokończył. W oczach mi się zaćmiło, w uszach zaszumiało, upadłam zemdlona na ziemię. Po ocuceniu musiałam stanąć do spisania protokułu: przy indagacyi niewiele się dowiedziano ode mnie, bo niewiele sama wiedziałam. Zabrano moje zeszyty i listy wraz z pieczątką.

— Jeśli się co innego okaże, niż to, coś pani mówiła, będziesz pod sąd wojenny oddana, rzekł naczelnik żandarmów groźnie.

Nie wiedziałam dobrze, co jest sąd wojenny, przestraszyłam się jednak bardzo.

Z pokoiku mego było jedno tylko wyjście do sypialni matki i jedno okno na ogród. Postawiono jednego żandarma przy drzwiach, a drugiego za oknem w ogrodzie i rozkazano ojcu odwieźć mię nazajutrz do Kalisza. Ale tej samej nocy rozchorowałam się ciężko. Ojciec posłał po doktora, lecz choroba nie minęła, przedłużała się przez całe tygodnie; przez trzy miesiące z łóżka nie wstawałam, a żandarmi wciąż pilnowali drzwi i okna. Ukrywano ich przede mną, lecz można sobie wystawić, jakich uczuć doznawali rodzice. Jeden z żołnierzy sypiał w pokoju mej matki, kładąc się u progu moich drzwi.

Uspokajano mię, że już wszystko skończone, że sprawa ubita, uwierzyłam, a jednak przestrach jakiś dręczył mię. Prosiłam rodziców, aby mię wywieźli za granicę; przyrzekali wszystko, czego pragnęłam, uczynić, dręcząc się przypuszczeniem, że musiałam dopuścić się jakiegoś przestępstwa wobec rządu, czego im wyznać nie chcę.

Udręczenia te przyprawiły matkę moję o chorobę, zaledwo ja wstałam z łóżka, ona się położyła. Dowiedziawszy się prawdy o stojących za oknem i drzwiami żandarmach, dostałam we wszystkich członkach drżenia febrycznego, które najmniejszy szelest wywoływał. Skoro naczelnik żandarmów dowiedział się o mojem wyzdrowieniu, przyjechał znów po mnie.

Dzień, w którym powtórnie żandarmi dom nasz otoczyli, pozostał na zawsze wyryty w mej pamięci. Matka dostała krwiotoku. Ludność wiejska zbiegła się i z płaczem głośnym żegnała panienkę. Ojciec uniosł się znowu gniewem i pod groźbą klątwy zakazywał mi jechać z żandarmami. Naczelnik, nazwiskiem Ungersterbert, stawiał się hardo, groził Sybirem za nieposłuszeństwo władzom, ja stałam w rozpaczy, nie wiedząc, co począć, kogo posłuchać. . . .

Nareszcie mój ojciec upamiętał się, kazał zaprządz konie do powozu, chorą żonę zostawił pod opieką jej ojca, a mego dziadka, gospodarstwo polecił bratu swemu, który się wtedy zjawił, a sam pojechał ze mną.

Liczny konwoj otaczał nasz powóz aż do Kalisza. Zajechaliśmy tam oboje strasznie zgnębieni na duchu, dopiero odetchnęliśmy cokolwiek po przyjęciu u gubernatora, generała Sobolewa. Była to poczciwa dusza, uspokajał nas i pocieszał, o ile mógł i zdołał, dał nam swobody, pozwolił nawet zaczekać za wyzdrowieniem i przyjazdem matki. Biedna, kochana matka, nie zważając na swe zdrowie, zwlekła się z łóżka i przyjechała pospiesznie. Dnia 20-go marca w towarzystwie 40 dragonów wyjechaliśmy do Lublina

Podróż oddziałała dobrze na moje zdrowie, zaczęłam przychodzić do siebie, ale w Puławach schwytał mię znów lęk straszny. Cztery dni przeleżałam w łóżku, pełna niepokoju, zdenerwowana do najwyższego stopnia, ale i to minęło. W sam wielki czwartek zajechaliśmy do Lublina i stanęliśmy w hotelu. Ojciec poszedł zaraz do generała Fryderyksa, o którym wiele dobrego słyszał. Tam mu powiedziano, że córka potrzebna do konfrontacyi w śledztwie bardzo ważnem. Ojciec mówił generałowi, że jestem słabowita i bardzo wystraszona, że o mały włos życiem nie przypłaciłam całego przejścia, i on to poradził ojcu, aby poszedł do gubernatora.

Gubernator nie był także złym człowiekiem.

— Wiem, rzekł, czem są dzieci dla rodziców i ja mam dzieci. Państwo oboje możecie swobodnie chodzić po mieście, lecz córka nie może opuszczać pokoju, chyba gdyby chciała iść do kościoła pod strażą żandarma. Ojciec powrócił umocniony na duchu, już ta okoliczność, że nie zamknięto mię w kazamatach u Wizytek, gdzie 40 osób wtedy się znajdowało, była wielkiem szczęściem i dawała lepszą otuchę na przyszłość. Wszyscy baliśmy się tych lochów, śledztw, kaźni, o których tyle mówiono. Wkrótce odwiedził nas adjutant generała Fryderyksa, hr. Toll, był bardzo uprzejmy i starał się rozweselić mię rozmową. Z młodymi łatwiejsza sprawa, ożywiłam się więc, poweselałam.

Nazajutrz powołano nas do gubernii na sądy. Ulice zalegały tłumy, wszyscy byli ciekawi ujrzeć uwięzioną, na wszystkich twarzach malowało się współczucie. Widok ten sprawiał mi przyjemność, choć drżałam ze strachu. Wysiadłszy z powozu, przechodziliśmy przez trzy wielkie salony. W pierwszym zgromadzeni byli obywatele wiejscy z okolicy, którzy umyślnie w tym dniu zjechali się; w drugim stali tłumnie wojskowi, w trzecim urzędnicy. Tam zatrzymano mego ojca, a mnie z matką wprowadzono do kancelaryi. Sam gubernator tak rozrządził, a zwracając się do matki, rzekł ostro:

— Proszę nie mieszać się i nie dawać odpowiedzi za córkę, bo zbyt gadatliwe matki wyprowadza się za drzwi.

Skoro weszłyśmy do długiej sali, podano nam dwa fotele; zauważyłam, że wszyscy sędziowie na drewnianych ławkach siedzieli. To wyróżnienie ucieszyło mnie, a tak jeszcze byłam dziecinną, że się uśmiechnęłam do własnej myśli w owej groźnej chwili. Zadawano mi różne pytania, na które odpowiadałam szczerze; matka nie odzywała się wcale. Prostota tłomaczenia podobała się generałowi Fryderyksowi, zawołał bowiem:

— Ta dziewczyna widocznie jest niewinną, znać to po sposobie tłomaczenia.

Wtedy jeden z inkwirentów (Polak, niestety!) przez zbytnią gorliwość i w chęci przypodobania się władzy, rzekł:

— Przeciwnie, widoczne tu kłamstwo, a winę złożono na stryja, który nie żyje.

Słowa te tak mię oburzyły, że w głos się rozpłakałam.

— Nie mam zwyczaju kłamać, rzekłam, łkając, mówię świętą prawdę — Bóg świadkiem.

Gubernator ofuknął inkwirenta.

— Pocoż wdajecie się w nieswoje rzeczy! dymisya! krzyknął z gniewem.

Przestraszyłam się głosu, ale doznałam niejakiej otuchy, widziałam bowiem, że mi gubernator sprzyja.

Z toku śledztwa pokazało się dopiero, o co szło głównie w tej sprawie.

Dąbrowski, syn generała Henryka Dąbrowskiego, mieszkał w naszem sąsiedztwie; z synami jego znałam się od dziecka. Mój ojciec oddawał ich do wojska w r. 1830-tym. Jednemu z nich, który w czasie wojny dosłużył się stopnia pułkownika, pokazałam pewnego razu pieczątkę stryja Juliana. On, nie mogąc odczytać dokładnie napisów, odcisnął na laku kilkanaście exemplarzy, i zabrał je z sobą. Któż mógł przewidzieć, że tak błaha okoliczność narazi nas na tak przykre i zgubne w następstwach przejścia.

Kraj cały roił się od szpiegów, co dowodzi, że Judaszów nie braknie nigdy, gdy tylko znajdzie się ktoś, co chce ich opłacać. Odbicia z mojej pieczątki, dostrzeżone przez kogoś, podały Dąbrowskiego w podejrzenie, iż należy do tajnej organizacyi, a papiery owe są blankietami. Zaszła denuncyacya do Lublina, najechano Dąbrowskiego, który tam niedaleko na wsi mieszkał i uwięziono w kazamatach u p. p. Wizytek. Dąbrowski, czując się niewinnym, wyznał, że pieczątki te dostał od młodej panienki, że przeto nie mają żadnego znaczenia.

Tym sposobem ja wplątaną zostałam w tę sprawę. i pociągniętą do śledztwa.

Tłomaczenia nasze tak się zgadzały, iż od razu rzecz winna była się wyjaśnić, a my powinniśmy byli odzyskać

wolność, ale w owych czasach przechowywanie pamiątki tego rodzaju, jak owa pieczątka, było poczytane za występek, nieledwie zbrodnię; przedłużano więc śledztwo do nieskończoności, i tym sposobem karano nas. Trudne to do wiary, a jednak prawdziwe, że przez całe pięć miesięcy trzymano nas w Lublinie. Odsiadywanie kozy po wyroku mniej byłoby zapewne przykre, niż ta niepewność, ta obawa jutra, na jaką nas skazywano. Dni schodziły mi dość znośnie, mieszkańcy miasta i okolicy okazywali nam wiele współczucia, odwiedzali, zasypywali mię różnemi przysmaczkami, ale biedni rodzice niecierpliwili się okropnie, i wciąż narzekali, że gospodarstwo opuszczone, że dzieci na łasce Boskiej zostawione, że cała rodzina pokutować musi za moję nieostrożność i t. d. Skoro noc nadeszła, przywodziłam sobie to wszystko na pamięć, nie mogłam zasnąć, płakałam, drżałam cała. Strasznie się bałam wyroku; mówiono, że zostanę skazaną na dożywotni pobyt w klasztorze, że mię bić będą rózgami, wszystko to udręczało mię śmiertelnie.

Nareszcie ojciec, nie mogąc doczekać się końca sprawy, odjechał do domu, powołany pilnym interesem, zostałam sama z matką. Wkrótce mama rozchorowała się ciężko i wtedy generałowe rosyjskie — przyznać należy — okazały nam wiele współczucia, odwiedzały chorą, dopytywały codziennie o stan jej zdrowia.

Doświadczyliśmy również wiele współczucia od państwa Duninów. Pan Dunin był majorem wojsk polskich w czasie wojny w 1831 roku; ojciec mój wyświadczył mu drobną przysługę, dając koni w przemarszu dla jego żony; zacny człowiek, osiedlony teraz w Lubelskiem na wsi, sowicie wypłacał się za ojca dawną uczynność. Przysełał drzewa na opał i różne prowianty, wędliny, ciasta i t. p.

Nareszcie przeszedł ów czas pięciomiesięczny żółwim krokiem. Zawezwano mię do konfrontacyi z Dąbrowskim. Spojrzawszy sobie w oczy przy śledztwie z współwinowajcą, rozpłakaliśmy się oboje.

Jemu jeszcze gorzej było, niż mnie, trzymano go bowiem w podziemiach, blady był, pozieleniały na twarzy. I za cóż tak sroga kara?! A Bóg wie, jak długo byłaby potrwała jeszcze, gdyby nie pełnoletność następcy tronu, z powodu której ogłoszono amnestyą dla przestępców, do kategoryi których nas także podciągnięto. Prezes trybunału, hr. Roztworowski, biskup Wojakowski i kilku innych dygnitarzy przyszło osobiście wręczyć matce akt ułaskawienia. Była to chwila radosna! Prezes przydał prośbę, abyśmy podziękowały osobiście prezydującemu, który starał się usilnie o podciągnięcie naszej sprawy pod kategoryą ułaskawionych. Poszłyśmy naturalnie. Staruszek był bardzo grzeczny, nagadał mi wiele komplimentów i objawił życzenie, abyśmy były na wieczorku składkowym, urządzonym w domu hr. Roztworowskich na cześć pełnoletności następcy tronu.

— Trzeba, aby panienka rozweseliła się trochę po ciężkich smutkach, przydał, zwracając się do mnie.

Wyznaję, że nie zbywało mi na ochocie do zabawy; u młodych wrażenia zmieniają się szybko, ale mama z wielką przykrością przystała na tę propozycyą, która o jeden dzień przedłużała nieobecność jej w domu. Ubrałam się bardzo skromnie w białą sukienkę, przepasaną białą szarfą, matka przystroiła się czarno, a zaledwie zabawa rozpoczęła się na dobre, opuściłyśmy salę i zajęłyśmy się pakowaniem rzeczy. Nazajutrz trzeba było złożyć pożegnalne wizyty osobom, które szczególne okazały nam współczucie w czasie długiego śledztwa. Największą grzeczność okazał nam hr. Toll, bo odprowadził aż do Puław, dostałyśmy także kartę, która nam zabezpieczała konie na poczcie.

Wróciłyśmy nareszcie do domu i niby się wszystko szczęśliwie skończyło, tylko pod obserwacyą policyjną poddaną zostałam. Nie był tu jednak zupełny koniec pokuty naszej, a smutne następstwa przejść opisanych dały mi się uczuć przez całe życie. Tylomiesięczny rozstrój nerwów pod wpływem ciągłej obawy i niepokoju sprowadził mi chorobę nerwową, do późnych lat trwającą. Dziadek mój również skutkiem niepokoju o nas zapadł ciężko i umarł. Wreszcie opuszczenie gospodarstwa i interesów przez ojca i koszta pobytu w Lublinie pogrążyły nasz stan majątkowy w smutną gmatwaninę, z której nie prędko wydobyć się było można. Takie to były Mikołajewskie czasy.

Nie żałuj!

Kiedy nad smutną, znękaną tęschnotą
Ból wszechzawodu swe skrzydła roztoczy,
A wieńce z cierni skroń Twoję oplotą,
I gorzka, cicha łza zamgli Ci oczy;

I przez Twe członki wiatr mroźny przewieje,
Nić marzeń złotych zimnem tchnieniem przetnie,
Pozrywa węzły, zagasi nadzieje
I krew gorącą w bryłę lodu zetnie;

Choć w zmiennej życia twardego kolei
Zbielały w pracy włos burza roztarga,
I w ciężkiej walce bez gwiazdy nadziei
Wyrazem ściśnie goryczy się warga;

O! nie poddawaj rozpaczy się czarnej,
I nie przeklinaj w boleści szalonej,
Ani nie żałuj łzą pracy zroszonej,
Wylanej z głębi twej duszy ofiarnej.

Bo ten, co w życiu walkę toczył twardą,
I z wiarą w przyszłość nie stygnął w zapale,
Lecz ze stoicką rozkoszy pogardą
Przez burze przeszedł i gromy i fale,

Ten drogę życia, wiodącą przez ciernie,
Unieśmiertelnił pamięci wieńcami;
A krzyż, dźwigany na tej ziemi wiernie,
Radości wiecznej błyśnie promieniami.

Józef Siemianowski.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Dokończenie).

— Jest niewinna, musi być niewinna! — woła radosny głos w sercu Edgara, poczem uczuwa głęboki żal, że mógł zwątpić o tem i upokorzony tą swą niewiarą chciałby paść przed nią na kolana i ucałować rąbek jej sukni.

— Uspokój się, pani -- szepnął cichutko. — Bransoletka się znalazła, oto jest!

Ona wyciąga doń rękę gwałtownie.

— Gdzieś ją pan znalazł? — woła, zapominając o smutku, z radośnie błyszczącemi oczyma.

– Znalazł ją *monsieur* Cabouat de Hauterive w sieni pewnego piętra, na ulicy d'Anjou, pod numerem dziesiątym — odparł, oddychając głęboko.

— Więc miałam słuszność! — wykrzyknęła Stella bez najmniejszego pomieszania. — Musiałam ją zgubić, kiedy, odwiedzając dziś ciotkę swoję, Corrège, upuściłam rozliczne paczki, jakie niosłam, na schodach.

Widocznie nie wie nawet, na której ulicy i w którym domu książę Capito mieszka.

— Ciotkę Corrège? — zapytuje Rohritz z żywością.

— Więc pan nic nie wiesz o mojej ciotce? — mówi, jąkając się zmieszana.

— Naturalnie, że wiem — potwierdza z całą powagą.

— Była bardzo nieszczęśliwą w pożyciu z pierwszym mężem — szepce Stella, rumieniąc się coraz bardziej — bardzo nieszczęśliwą i nie taką, jak być powinna. Od czterech lat jest żoną skrzypka Corrège, który się z nią jak najgorzej obchodził, a obecnie do Ameryki wyjechał, gdzie podobno koncerta daje. Poznała mnie na ulicy z fotografii, którą jej ojciec z Wenecyi posłał; była tak dobra dla mnie, a przytem tak smutna i nieśmiała. Miała ze sobą swą małą córeczkę, śliczną dziewczynkę zupełnie do niej podobną, tylko z czarnemi włoskami. Ojciec prosił mnie przed śmiercią, abym przez miłość dla niego była dla siostry jego dobrą, abym jej nie potępiała, jak drudzy. Cóż miałam robić? Nie mogłam jej prosić, aby nas odwiedziła, bo mama nic o niej wiedzieć nie chce i od dwóch lat żadnego jej listu nawet nie rozpieczętowuje. Raz, czy dwa razy widziałam się z nią w Louvrze, potem zachorowała i chciała się koniecznie widzieć ze mną; odwiedzałam ją więc bez wiedzy mamy. Było to nieładnie z mej strony, ale ojciec tak mnie prosił, abym dla niej dobrą była!... To mówiąc, spogląda nań z błagalnym swych dużych, załzawionych oczu wyrazem.

— Biedne dziecię, dobroć twego serca ciężko przypłacić musiałaś — szepce Edgar miękkim, łagodnym głosem.

— Jestem szczęśliwa, że komuś to powierzyć mogę — wyznaje Stella z całą otwartością. Zapomniała już o swem zmartwieniu, ma to błogie uczucie pewności opieki, jakiem ją zawsze obecność Rohritza napełnia. Łzy nie obeschły jeszcze na zarumienionych policzkach, ale oczy błyszczą po dawnemu. Uszczęśliwiona i uspokojona, stara się bransoletkę na nowo umocować na ręku.

On klęka przed nią, aby jej w tem dopomódz; naraz ujmuje bransoletkę i zaciska ją w swej dłoni.

— Stello — szepnął cichym, rzewnym głosem — trudno zaprzeczyć, że się nieostrożnie z swem szczęściem obchodzisz. Pozwól, abym ja odtąd strzegł je dla ciebie, u mnie ono pewniejsze będzie.

Spogląda na niego, ale nic nie rozumie; dziwne tylko jakieś uczucie radości przejmuje ją całą.

— Stello! moje serce, mój klejnocie, mój skarbie najdroższy, chcesz zostać moją żoną? Czy sądzisz, że życie przy moim boku dość znośnem byłoby dla ciebie?

— Znośnem? — powtarzając, szepnęła z uśmiechem, którego wspomnienie on chyba uniesie do grobu. — Znośnem? — i wyciąga doń swe słabe, delikatne rączki. On chce je z radością przycisnąć do serca, ale Stella cofa się nagle i mówi śmiertelnie blada:

— I pan chcesz się żenić z dziewczyną, którą jutro cały Paryż będzie wytykał palcami?

— Moję narzeczoną wytykać palcami? — woła gniewnie. — O! nie obawiaj się, Stello! znam świat lepiej od ciebie i wiem, że palcami wytykać będą tych nędzników, którym obrażona próżność potwarz wymyślić kazała. Widzisz, kochanie ty moje, pomiędzy aniołami istnieje zawsze pewne porozumienie, i ci, którzy są w niebie, nie pozwalają, ażeby ich siostrom na ziemi coś złego zdarzyć się miało. A teraz pocałuj mnie, Stello, moja gwiazdko, moje słońce, moje ty wszystko na ziemi!

Ona po chwili wahania dotknęła nieśmiało swemi świeżemi, miękkiemi usteczkami rozpalonych jego skroni.

Naraz słyszą zbliżające się kroki. Rohritz podnosi się żywo, jak ktoś, na gorącym schwytany uczynku, wtem wysoka postać Edmunda zarysowuje się we drzwiach, do sali balowej wiodących.

— Cóż u dyabła robisz tu tak długo? — woła podrażniony. — Żona moja dosięgła już szczytu niecierpliwości.

— Tym razem musi wybaczyć — odparł Edgar z promiennym uśmiechem – bo jeżeli na drodze naszego życia z kwiatem szczęścia się spotkamy, to nie możemy mu powiedzieć: Żałuję bardzo, ale cię teraz zerwać nie mogę, ponieważ bratowa się niecierpliwi.

— Ach! — zawołał Edmund, dostrzegłszy Stellę i kłaniając jej się głęboko. — Teresa gniewać się będzie, że ja, a nie ona miała słuszność, ale co do mnie, cieszę się z całego serca, nie dla tego, żem miał słuszność, ale dla tego, żem nie mógł sobie nic ładniejszego i lepszego dla ciebie wymarzyć.

. . . .

ZAKOŃCZENIE.

Tydzień upłynął od zaręczyn Edgara ze Stellą.

Teresa gniewała się z początku, że nic podobnego przewidzieć nie mogła, ale to niezadowolenie bardzo szybko minęło. Obecnie zamęcza się prawie zakupywaniem tak świetnej wyprawy, jaką tylko za pieniądze w połączeniu z dobrym gustem w Paryżu dostać można!

Cino gniewał się także! Najpierw, że Stella z jego powodu miała nieprzyjemności, a potem, że chwilowe jego kalectwo do natychmiastowego pojedynku z Hauterivem dopuścić nie mogło. — Nie tańczyć z naszą gwiazdą kotyliona było okropne, ale nie módz się za tę gwiazdę pojedynkować jest stokroć gorsze do zniesienia!

Powyższe zdanie umieścił w humorystycznym liście, jaki z życzeniami do Edgara wystylizował. W *post scriptum* był niewielki dodatek:

— Odwiedzającemi mnie damami, na cześć których pewne obrazki odwróciłem twarzą do ściany, jak to słusznie zauważyłeś, były panie Lipińskie, matka i córka. Jestem z Natalią po słowie!

Księżna Obłońska opuściła niebawem w towarzystwie panny Furwesen stolicę, udając się na czas dłuższy do Neapolu. Ogólnie mówią, że *monsieur* de Hauterive w jej ślady podążył. Stazya odprawiona, pozostała w Paryżu, gdzie się przed wszystkimi na niewdzięczność ludzką uskarża. Obecnie nie włożyłaby już ręki w ogień, stając w obronie cnoty i niewinności biednej księżnej Obłońskiej.

A narzeczeni?!...

Przenieśmy się do małego saloniku z niebieskiemi meblami i wzorzystym dywanem, w hotelu *Aux trois nègres*. Baronowa siedzi przy biurku, kreśląc z pospiechem coś, czego nigdy nie doprowadzi do końca, a zapisane, pogniecione i podarte arkusze walają się koło niej, w koszu i na posadzce.

Z ulicy dochodzi turkot ciężkich i lekkich powozów i wozów, lekki i ciężki chód przechodniów, ale pomimo tego gwaru słychać wyraźnie monotonny, usypiający szmer opadających kropli — to śnieg taje pod promieniami cieplejszego słońca. Naturalny ten szmer musi mieć w sobie przecież coś niezwykłego i drażniącego, bo baronowa od czasu do czasu przerywa sobie pisanie i nadsłuchuje uważnie, ale biedna zapomniała, co jej niegdyś takie opadające krople mówiły, dziś już ich tajemniczego szeptu nie rozumie.

Przy kominku siedzi Edgar ze Stellą. Narzeczony nosi rękę w opasce, albowiem przy pojedynku, który w trzy dni po balu u Fanów się odbył, *monsieur* de Hauterive zranił go lekko w ramie. Do przywiązania Stelli przyłączyło się więc jeszcze jedno uczucie więcej, a mianowicie uczucie wzruszającej litości i troskliwości. Siedzą ręka w rękę, układając czarowne plany dla długiej, zawsze promiennej przyszłości. Przed światem zachowują ściśle zakreślone formy, ale kiedy są sam na sam, mówią do siebie po imieniu.

— Jeszcze jedno pytanie, najdroższa — szepce Rohritz swej ślicznej, zawsze jeszcze nieśmiałej narzeczonej. — Jakbyś chciała urządzić sobie życie?

— Jakbym ja chciała? Czyż to ja mam decydować o tem?

— Naturalnie, że ty, aniele — mówi z uśmiechem. — Twoje zadowolenie i szczęście będzie i dla mnie szczytem szczęścia zarazem.

— Jakiś ty dobry — szepce wzruszona — a jednak dla czego dręczyłeś mnie tak długo, tak strasznie długo!

— Czy myślisz, że mnie z tem dobrze było? — odparł z powagą. Wyrzut jej dotyka go boleśniej, niż sądzi. — Tak, jak on mógł zwłóczyć tak długo — wydaje się teraz sobie tak nędznym ze swem wahającem, zawiedzionem sercem, w porównaniu z jej czystem, bogatem uczuciem. — Ale — wracając do poprzedniej rozmowy — zaczął po chwilce milczenia:

— Czy chcesz ośm miesięcy żyć w mieście, a cztery w zaciszu na wsi, czy też odwrotnie?

— Odwrotnie, jeżeli się to zgadza z twojem życzeniem.

— Jan Leskjewitz donosił mi w końcu swego listu z życzeniami, a były to najładniejsze i najserdeczniejsze, jakie kiedykolwiek dostałem, że żona jego ma zamiar sprzedać willę Erlach, aby uniknąć pokusy, któraby ją od trudów i niewygód życia żony wojskowego do tego miłego zakątka wciągnąć chciała. Czy mam kupić Erlach dla ciebie, Stello, dla ciebie, jako wyłączną twoję własność.

— To byłoby rajsko — szepnęła nieśmiało, ale i z radosnym uśmiechem.

— Ślub weźniemy w Paryżu, w ambasadzie, a następnie puścimy się w podróż przez południową Francyą do Karyntyi, dopóki Erlach nie będzie gotów na przyjęcie młodej swej pani.

Ale na wzmiankę planu podróży Stella energicznie wstrząsa główką.

— O! nie — podróż poślubną zrobimy do Calow, do grobu biednego ojca mego. Widzisz, najdroższy, kiedy mi ojciec dawał tę czterolistną koniczynę, którą ty teraz na szyi nosisz, powiedział: „Jeżeli cię spotka jakie wielkie szczęście w życiu, to możesz sobie powiedzieć, że ci je twój biedny ojciec u Pana Boga wyprosił w niebie. Więc muszę mu teraz podziękować za to — nieprawdaż?

Edgar skinął głową w milczeniu.

— Czy to szczęście jest rzeczywiście tak wielkie, najdroższa? — zapytał, patrząc ze smętnym uśmiechem na młodą swą narzeczoną.

Ona nic nie odpowiada, ale cicho i leciuchno, trwożliwie prawie obejmuje go rączkami za szyję i biedną, maleńką swą główkę tuli do szerokiej jego piersi.

W tej chwili baronowa spojrzała na młodą parę. Dziwna rzecz, jak jednostajna melodya spadających kropli w pisaniu jej przeszkadza. Na widok zakochanych chmurka smutku osiadła jej na czole, odwróciła głowę i odłożywszy pióro, zamyśliła się nad czemś głęboko.

. . . .

— *The world was all before them where to choose their place of rest and providence their guide!* — szepnęła sama do siebie. Dziwna rzecz, jak te słowa do każdego młodego małżeństwa zastosować można, a jednak są to ostatnie wyrazy z „Raju utraconego!“

Koniec.

Z TEKI MŁODZIEŃCZEJ.

I.

Moja pierwsza miłość i niekoniecznie wesoły jej koniec.

„Do czego miłość nie była powodem?
Miłość trucizną, goryczą i miodem.“
Morgenbesser.

Miałem wówczas lat siedm, gdy serce me po raz pierwszy goręcej bić poczęło i to do również siedmioletniej Anusi. Anusia była córeczką pana P., w którego kamienicy rodzice moi mieszkali Bawiąc się codziennie we wspólnym ogródku, poznaliśmy się dobrze i ja w krótkim czasie stałem się nietylko wiernym przyjacielem i rycerzem, broniącym Anusi od niesfornych mych towarzyszy, lecz także gotowym do wszelkich przysług kawalerem, zrywającym dla swej bogdanki przez płot sąsiedniego ogrodu agrest i porzeczki.

W czasie, gdy powyższe wypadki rozgrywały się na widowni mego życia, kazał rodzic mej drogiej Anusi świeżo pomalować swą kamienicę, a choć biedak wzdychał nad groszem, który wydał w tym celu, cieszył się zarazem błogą pewnością, że jego kamienica była teraz najładniejszą na całej ulicy.

Tymczasem siedmioletnia moja bogini, która dopiero zapoznała się z tajemnicami alfabetu, za mało miała miejsca do krzywych swych liter na ciasnej tabliczce podług namalowanych linijek i nie zastanawiając się nad ewentualnemi skutkami swego pomysłu, za pomocą kawałka kredy zaczęła stawiać litery na co dopiero pomalowanej kamienicy swego ojca Wtem oko p. P., który, paląc cygaro w oknie, spoglądał zadowolony sam ze siebie na przechodniów, padło na córkę, kredę i kamienicę. O! zgrozo... To też p. P., nie wdając się w parlamentarne pertraktacye, w kilku susach wypadł na ulicę i... po tłustych paluszkach bić począł niepowołaną artystkę. Mieszkając na parterze, wszystko to z okna widziałem i oburzony na groźnego ojca, poprzysiągłem mu z głębi serca zemstę... czarną, jak oczy mojej Anusi. I zaledwie pan P. wszedł na górę do mieszkania, swego za rączkę ciągnąc Anusię, gdy ja szybko z obawy, aby nie zastygło we mnie uczucie zemsty, zbiegłem z większym jeszcze kawałkiem kredy i na kamienicy p. P. nietylko litery i liczby stawiać, ale i koła, komety, wieże i t. d. malować zacząłem. Zobaczywszy to ojciec Anusi, o mało nie zemdlał i trzęsąc się cały ze złości, jak piorun wypadł na dół, wyrwał mi kredę z ręki, wytargał za czuprynę i uszy, wyszturchał i za kołnierz porwawszy, zaprowadził mnie do rodziców. Tu powtórzył się ostatni akt z małemi odmianami.

Taką była pierwsza miłość moja, a mimo groźnych swych następstw nie zdołała mnie wyleczyć z choroby sercowej, na którą jeszcze obecnie raz po raz zapadam.

II.

Pierwszy pocałunek.

Stary Franciszek ostatnią noc pilnuje ciała swej nieboszczki żony. Sam jeden, gorzej, niż sam, bo otoczony duchami przeszłości, usiadł na kufrze i wlepił w zmarłą swe sine oczy. Biedny chałupnik, bez żony, bez przyjaciela, bez rodzeństwa, bez dzieci, któreby go w smutku pocieszyły, sam jeden, jak liść, oderwany od drzewa. Głęboko odczuwa stratę i krzywdę, jaką mu śmierć wyrządziła, zabierając jedyną istotę, którą kochał i od której był kochany, a jednak nie poddaje się sentymentalnym uczuciom, tłomacząc sobie filozoficznie, że mu się to na nic nie przyda, a płacz i żal głośny umarłej nie wskrzeszą. Rozważa on teraz: Szczęśliwa, dość długo się nacierpiała, uderzając o kamienie, których pełne są ścieżki żywota. I jabym powędrował do owych szlaków niebieskich, bo cóż tu mam dobrego na ziemi, co mi życie ofiarowało, co jeszcze ofiaruje? Jako trzechletni sierota, od obcych przygarniony ludzi, nie bywał nigdy pieszczony, ani okrywany pocałunkami, nie ujrzał nigdy nad kołyską pochylonego matki oblicza, pełnego miłości i troski. Tak jest, miłości nie zaznał on wcale wśród ludzi, bo za łyżkę strawy, z łaski danej, i garść barłogu przy kominie, podrosłszy nieco, już się odpłacał, pasąc z początku gęsi, potem źrebaki i krowy. Życie zbyt wcześnie włożyło mu krzyż na barki, cierniem oplotło mu czoło, oswoiło z bólem wszelakim. Rosł tak mały Franciszek, więcej doznając opieki od tego, który niebieskie żywi ptaki i lilie w białe odziewa szaty, niż od Michałów, którzy mu zastępowali zmarłych rodziców. Bieda, praca, trud, smutek i zimne ludzkie serca stępiły w nim resztki uczucia, zrobiły go odludkiem, nieprzyjemnym w obejściu z drugimi, a twarz o nieregularnych rysach raczej brzydka, niż ładna, odstręczała od niego dziewczęta. On sam zresztą w swej niedoli ani o nich nie myślał, nigdy mu przez głowę nie przeszło którą z nich pocałować, choć słyszał, jak inni tak bardzo pierwszym chełpili się pocałunkiem!

Gdy stanął przed ołtarzem i gdy ksiądz mu z dzisiajszą nieboszczką ręce połączył stułą, to naprawdę nie z miłości, tylko, aby zbliżającej się starości we dwoje śmielej mogli zajrzeć w oczy. Aby we dwoje żyjąc i krzepiąc się nadzieją, łatwiej nieśli krzyż żywota ziemskiego. Pomagali sobie uczciwie, nie myśląc bynajmniej o miłości i zawartem małżeństwie.

Zbliżyli się do siebie, by łatwiej im było ciągnąć tę taczkę ciężarów i kłopotów codziennych i tak przywykli do siebie z czasem, że teraz, gdy stary Franciszek nie ma już swej współmęczenniczki, czuje coś dziwnego w piersiach, które podnosi fala uczucia zupełnie mu niezrozumiałego, które go jednak przejmuje boleśnie.

Klęka więc u stóp trumny i prosi Boga o zbawienie dla duszy nieboszczki i o połączenie się z nią na nowo. Pokrzepiony modlitwą, powstaje, by poprawić dwie świece łojowe, co pomarszczoną twarz zmarłej żółtym, oświecały płomykiem. Nędza i niedola tak głęboko zapisały się na tej twarzy, że śmierć ich piętna zmazać nie zdołała. Starzec z boleścią patrzy na tę twarz, bruzdami wieku i cierpień zoraną, a każda zmarszczka zdaje mu się mówić: Patrz, ona zawsze myślała o tobie, pracowała dla ciebie, była ci w smutku pociechą, w zwątpieniu nadzieją, a teraz... Zamknięte oczy, zamknięte usta, z których nigdy nie wyszło przekleństwo, ni gorzka skarga, a często zeń płynęły słowa otuchy i nadziei.

I pozostałeś sam, jak krzyż na szczycie gór, sam jeden! — A któż ci oczy zamknie, kto nad twą zapłacze mogiłą? Głuchy żal serce mu ścisnął — łza zabłysła w oku, zgiął się nad trumną i drżącemi usty położył na zbladłych wargach zmarłej p i e r w s z y p o c a ł u n e k! Widział to księżyc, który właśnie siną smugą zajrzał przez okno do izby, a wiatr ponad chałupą przeleciał, w kominie poigrał, o szyby zadzwonił i wśród ciszy znów tylko słychać, jak dopalające się świecie pryskają.

W. Ł.

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Dysydenci po raz pierwszy wystąpili publicznie, przywłaszczyli sobie kościoł i ogłosili tu *reformacyą*, co dało powód do zaburzeń i starcia. Za przybyciem bowiem biskupa *Brask*, który zjechał tu z *Lingköpingu w Szwecyi* dla wizytacyi kościołów, ówczesny gubernator *Gotlandyi* z ramienia rządu *duńskiego* tu postawiony, a niechętny reformatorom, odebrał kościoł i rozpędził ich przemocą.

Ale w krótkim czasie powrócili prześladowani, reformacya zapanowała w *Gotlandyi* — i piękny kościoł św. Jana stał się przybytkiem *luterańskiego* wyznania.

Dzisiaj wspomnienie tylko i gruzy dziejową zaznaczają pamiątkę.

Spuszczając się niżej z miasta i ku wybrzeżom kierując, rozwaloną spotykamy jeszcze wieżycę, która, z surowego kamienia złożona, wysokim zrębem, jak widmo szare, się wznosi. Obok tej wieży kilka połamanych murów, z których jeden niedowalonym łukiem o nią oparty fantastyczne jej daje kontury. Cała ruina, okolona zielenią krzewów, w pięknym dziś stojąc ogrodzie, składa obrazek, jakby studyum z artystycznego albumu zdjęte.

Jest to wspomniany na wstępie wotywny kościoł św. *Adolfa*, patrona *Szwecyi*, który zbudował pielgrzym dostojny, król duński, *Eryk Ejgod*, zatrzymawszy się tutaj w gościnie, gdy jechał z żoną swoją Botyldą i całym dworem wschodnią drogą na *Nowogród i Konstantynopol* do ziemi świętej. *Ejgod* odpoczywał tutaj miesiąc cały w roku 1103, a chcąc na dalszą drogę błogosławieństwo Boże uprosić, złożył tu Panu zastępów ofiarę, zakładając wraz z możnymi towarzyszami kościoł na cześć *św. Olafa*. Miała to być dosyć wielka i piękna świątynia w pierwotnym stylu romańskim, ostatnia w Skandynawii królewskiego pielgrzyma pamiątka; zmarły bowiem w dalekiej drodze nie powrócił już nigdy. Po śmierci jego przez długie wieki odprawiano tutaj nabożeństwa solenne za duszę założyciela, a kościoł, jako duński, uważany, głównie przez przebywających tutaj kupców tego narodu był wyposażony. W roku 1509 zgorzał zupełnie — ruina zwolna się rozpadała, a usunięte gruzy zajęły krzewy i kwiaty pięknego ogrodu publicznego, który ze czcią otoczył pozostałą pamiątkę, strojąc wieńcem zieleni szarą wieżycę, tę owdowiałą po prastarej św. Olafa świątyni sierotę.

Odstąpiwszy kilkanaście kroków od tej ruiny, wieża św. *Olafa* przedstawia się nam w prześlicznym i pełnym fantastycznego uroku krajobrazie, na tle którego zarysowuje się w oddali ogromnym łukiem ruina poważnego *st. Drotten (Trójcy świętej)* i jej warowna, kwadratowa wieżyca, cokolwiek dalej poważny i malowniczy św. *Wawrzyniec*. Gigantyczne mury Santa *Cariny* i ponad kłąby zielone parku wybiegające smagłe siostry-wieżyce *Maryackiego* kościoła —

I w obrazku cudnym staje
Starych grodów to widzenie,
Które słowem wam podaję,
By odwiecznych lat marzenie,
By harmonią, której głosy
Nad uśpionych lat ruiną
Skrzydłem sagi pod niebiosy
Pieśnią wspomnień w górę płyną.

Taką harmonią wspomnień, takiem fantastycznem marzeniem wobec tego obrazu odezwała się dusza poety, charakteryzując *gotlandzkich* brzegów widzenie. Jeden z najsłynniejszych wieszczów skandynawskich XIX wieku, *Bernhard Elis Malmström*, wyśpiewał nam w poemacie „*Gotlandya*“ rodzaj fantazyi podróżnej, w której cześć i wrażenia swoje maluje. Zdawało mi się zatem, iż najstosowniej dopełnię niniejszego obrazu, kończąc go słowem szwedzkiego mistrza, którego w wolnym tutaj przekładzie podaję.

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

W sobotę, d. 3 b. m. odegrano po raz pierwszy na scenie naszej 4-ro aktową komedyą mało dotąd — przynajmniej u nas — znanego na polu dramatycznem autora, p. Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego, p. t. „Szambelani.“ Treść sztuki zawarta jest w znanem ludowem przysłowiu, jakie autor wziął za dewizę swego utworu: „Kiedy sowa zjastrzębieje, lata wyżej, jak sokoł“ — a którą to dewizę objaśniają dwaj głównie bohatyrowie sztuki: Antoni Drobiński, starający się kosztem uczuć swej córki podnieść upadłą fortunę, i baron Młyński, kandydat na posła do rady państwa, któremu właśnie samolub-ojciec chce zaprzedać swą córkę Henrykę, szczęśliwie jednakże wyswobodzoną z niedoszłych więzów i oddającą swą rękę zacnemu, rozumnemu człowiekowi, adwokatowi Jaźwickiemu, również kandydatowi na posła stronnictwa narodowego. Sztuka to pełna humoru, o tendencyi wskroś szlachetnej, oparta na stosunkach galicyjskich.

Przedstawienie „Szambelanów“ na scenie — przyznać trzeba — zasługuje więcej na pochwałę, niż na zarzuty, o czem też świadczyło ogólne między publicznością zadowolenie. Pani Janowska rolę hrabiny Koreckiej oddała z godnością a swobodnie; panie Czaplińka, jako Henryka, i Morska, jako nauczycielka Józefa, odznaczały się naturalnością i wdziękiem, tylko pani Siedlecka, wytrawna skądinąd i znakomita wreszcie artystka, źle pojęła tym razem rolę szambelanowej Drobińskiej. Robiła raczej wrażenie pretensyonalnej i kokietującej starej panny z średniego stanu, aniżeli eleganckiej, salonowej damy, której na starość przewróciło się w głowie i zachciało romansować. Przede wszystkiem głosowi i ruchom p. Siedleckiej brakło pewnego spokoju i tego dobrego tonu, jakie cechują nawet zalotne i lekkomyślne w postępowaniu kobiety wielkiego świata. To też szambelanowa pani Siedleckiej była tylko postacią śmieszną, a powinna być raczej wyrachowanie złą i wstrętną. Z panów odznaczyli się grą znakomitą mianowicie pp. Trapszo i Popławski.

Pierwszy uwydatnił umiejętnie w charakterze exekonoma Czarkowskiego dobroduszną prostotę, serce wylane dla drugich i złoty zawsze humor; drugi, jako zacny i szlachetny adwokat Jaźwicki, tak wcielił się w swoję rolę, występował z taką pewnością siebie, objawiając ją intonacyą głosu, ruchami i spojrzeniem, że, patrząc i słuchając, zapominało się o grze i teatrze. Pan Janowski nie zepsuł także sympatycznej roli Stanisława Koraba, która nawet w pierwszych aktach odpowiadała całkiem jego talentowi, jedynie w ostatnich scenach z odnalezioną i ukochaną odtąd żoną był trochę za sztywny, a głos jego zbyt mało zdradzał uczucie, o którem zapewniały słowa. Wreszcie panowie: Siedlecki w roli szambelana, Antoniego Drobińskiego, Skirmunt w roli jego brata, rotmistrza Zygmunta, i Jakubowski w roli barona Młyńskiego zadowolili całkiem słuchaczy, szczególniej pierwszy grał, jak zwykle, bez zarzutu.

Następnego dnia, w niedzielę, mieli lubownicy tragedyi sposobność spędzić nader przyjemnie wieczor na dobrze nam już znanej z dawniejszych lat sztuce Szujskiego p. t. „Bracia Zborowscy.“ Przedstawienie to niedzielne udowodniło jednakże, jak mało jest u nas amatorów sztuk poważnych; każdy woli się raczej uśmiać i zabawić, to też publiczność bardzo nielicznie zebrała się na prześliczny ten utwor, odegrany przez artystów naszych pod każdym względem *par excellence*.

Zwróćmy przede wszystkiem uwagę na role tytułowe pp. Skirmunta, Siedleckiego i Popławskiego. — Pierwszy, jako główny bohater dramatu, Samuel, uwydatnił bardzo dobrze ten dziki niepohamowany, jednak wskroś szlachetny charakter, okrasił go dykcyą pełną życia i uczucia, strzegł się zaś przesady, w którą tak łatwo popaść było można.

Scena pożegnania z Gryzeldą, choć może najtrudniejsza z całej sztuki, wypadła świetnie, i widzieliśmy niejedną reprezentantkę płci pięknej sięgającą nieznacznie po chusteczkę, aby dać folgę rozrzewnieniu i pozwolić popłynąć łezkom nad smutnym losem nieszczęsnych kochanków.

P. Siedlecki również starannie wywiązał się z roli Andrzeja, zarzucićbyśmy mu chyba mogli jedynie brak cieniowania i monotonność głosu, czemu się jednak nie dziwimy, ponieważ zbyt rzadko mamy sposobność widzenia go w rolach charakterystycznych.

P. Popławski był znakomitym Krysztofem, do czego mu niezaprzeczenie dopomogł jego silny i sympatyczny organ. — Na podobne uznanie zasługują także pp. Siedlecka w roli Anny Jagiellonki, Pankiewicz, jako Gryzelda, Królikowska, jako Anna Zborowska, i Bissen w roli pazia Derśniaka.

P. Janowski w roli króla Stefana Batorego zachował odpowiednią powagę, spokój i godność majestatu, a ucharakteryzował się również odpowiednio.

We wtorek, dnia 6 b. m., powtórzono od lat kilku już niegraną na scenie naszej jednoaktową komedyą Fredry, „Posażna jedynaczka,“ oraz dwie małe komedyjki: „Bilecik miłosny“ Bałuckiego i „Dzieciaki“ Świderskiego.

W pierwszéj grali główne role pp. Trapszo Szymbalińskiego, Siedlecki Gomojłę, i Skirmunt Ratatyńskiego. — Chociaż — jak nas zapewniano — przedstawienie odbyło się prawie bez próby, jednakże wszyscy wywiązali się z swego zadania z humorem i werwą; typ zwłaszcza starego, poufałego sługi Błażeja nader umiejętnie odtworzył p. Wojdałowicz.

W „Bileciku miłosnym“ prym wodzili, jak zawsze, pp. Janowscy, a p Jakubowski dobrze im sekundował. —

W „Dzieciakach“ mieliśmy po raz pierwszy sposobność ujrzeć na scenie naszej w większej roli p. Staszewskiego. — O ile go dotychczas osądzić możemy, zdaje się, że artysta ten nie jest bez talentu, dykcya tylko jednostajna i bez cieniowania koniecznie winna uledz zmianie. — Pan Trapszo był bardzo naturalnym i sympatycznym dziaduniem, a p. Czaplińska, jako Linia, utwierdziła nas tem silniej grą swoją w mniemaniu, jakieśmy już dawniej powzięli o niej, okazując zarazem, że talent jej nadaje się równie dobrze do ról charakterystyczno-dramatycznych, jak i naiwnych.

St.

Promyki.

(Z „Wypisów" Maryi P.)

Żadna szkoła dramatyczna tego nie nauczy, co szkoła świata. Józef Dzierzkowski.

Kogo szkolni potępią koledzy, ten najczęściej i w latach późniejszych na potępienie zasługuje.
Józef Rogosz.

Rybkę siecią łowią, konia łapią na arkan, gęś przyciągają haczykiem; a na człowieka dość czasem jednego spojrzenia.
Klementyna Tańska.

Zdradzona miłość kobiety jest to zdradzona sprawa ludzkości. Adolf Dygasiński.

Różność zdań odejmuje nieraz przyjaźń między ludźmi.
Piotr Skarga.

Wspomnienia dziecięcego wieku najtrwalsze, w późnej nawet starości zanosi je człowiek z sobą do grobu.
Leon Potocki.

„Muzyka" jest to wielkie i święte słowo! Jest w niej coś podobnego do snu, przez który odgadujemy, że prócz tego są jeszcze inne światy i inne uczucia!
Jan Zacharyasiewicz.

Miłość i przyjaźń zrywaj, jak róże z ogrodu,
Na wiosnę, bo nie znoszą ni skwaru, ni chłodu.
Bohdan Zaleski.

Rozwiązanie łamigłówki

w n. 31 „Domu polskiego."

1. Juvenalis. — 2. Astarte. — 3. Daszków. — 4. Winidowie. — 5. Iller. — 6. Godavery. — 7. Aaron. — 8. Łucya. — 9. Upland. — 10. Sandeau. — 11. Zając. — 12. Cavendish. — 13. — Zabłocki. — 14. Eden. — 15 Wenus. — 16. Suffolk. — 17. Kolchida. – 18. A.

Jadwiga Łuszczewska. — Seweryna Duchińska.

TREŚĆ: Mikołajewskie czasy. Z opowiadań pani J. z K. R., opisała A. M. — Nie żałuj! (Wiersz.) Józef Siemianowski — Willa Erlach. Powieść przez Ossipa Schubina. Z języka niemieckiego tłomaczyła A. P. (Dokończenie.) — Z teki młodzieńczej: I. Moja pierwsza miłość i niekoniecznie wesoły jej koniec. II. Pierwszy pocałunek. W. L. — Wyspa Gotland. Obrazek z podróży ułożył hr. Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström (Dokończenie nastąpi.) — Teatr. — Promyki. — Rozwiązanie łamigłówki. — Ogłoszenia.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika Poznańskiego.